T 584.733

Odbitka z Nr. 1 (z czerwca 1934 r.), czasopisma

STER

KULTURA-LITERATURA-SZTUKA-SPRAWY SPOŁECZNE

Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001018613139

Karol Irzykowski.

Małżeństwa koleżeńskie

Małżeństwo to dobra rzecz, koleżeństwo również; ale małżeństwo koleżeńskie, to coś jak kotwica z galarety.

W „Dekadzie Akademickiej" toczy się od czerwca r. z. dyskusja na temat małżeństw koleżeńskich. Flirt akademicki, zaczynający się dziś zwykle od pytania: jak się koleżanka zapatruje na małżeństwa koleżeńskie? — ten flirt przeniósł się uroczyście na łamy Dekady jako „sprawa dla ogromnej części młodzieży piekąca". Rzecz ciekawa, że inicjatorem dyskusji była ONA, — niech jej imię i nazwisko uwiecznione będzie, — Alina Buznitzówna, i to ZA, za małżeństwami tak milutko nazwanemi. Inne akademiczki wystąpiły raczej przeciw tej nowości; tytuły ich odpowiedzi brzmią np.: „Koniecznie ze ślubem", „Mężczyźni nie dorośli do małżeństw koleżeńskich". Panie te powiadają: zupełna zgoda panowie, tylko wpierw maleńka formalność (nietualetowa): ślub. Djabeł to im chyba podszepnął: lecz nie wpuszczaj go inaczej, jak z obrączką w dłoni... Więc panie albo domagają się prawnej legalizacji małżeństw koleżeńskich, albo wogóle odrzucają ten typ związków. Rzecz charakterystyczna: panie piszą rozsądnie, a panowie tępo. Panowie, być może, robią to rozmyślnie, bo w ich interesie jest, żeby nie rozpatrywać sprawy jako bryły, lecz tylko jako powierzchnię.

Jak rozdrażnione pszczółki unoszą się w powietrzu słowa: „kołtunerja", „szczerość", „postęp", „obłuda", „świętoszkostwo" lub „męska wygoda", „egoizm" it.p. Pachnie flirtem bardziej niż mirtem, pachnie dopingiem i t. zw. przyszłością. Jeden konstatuje, że „życie poszło siedmiomilowemi butami naprzód" i twierdzi, — w co już mu nikt nie wierzy, — że „miłość

(w-wa 1934)

jest węzłem silniejszym niż ślub, zawarty z wszelkiemi ceremonjami" I wali tym siedmiomilowym butem w „zmurszałe formy", poczem niesie wysoko sztandar z hasłami „wolności, równości, zdrowia". Cały repertuar podręcznych zwrotów dziennikarskich został splądrowany. Zwłaszcza podoba mi się ten zwrot o strusiu, który chowa głowę w „piasek dawnych przesądów". Moi panowie, struś wogóle głowy w piasek nie chowa, to była legenda. Tenże jegomość, który podpisał się jako dr. Jekyll, chce wmówić w kobiety, że małżeństwa koleżeńskie są właśnie ich zyskiem a ustępstwem mężczyzn, bo „kobieta przestała już być własnością i żąda dla siebie równych praw". Ale jeżeli one tych równych praw nie chcą? Postępowy dr. Jekyll nie wie, że i robotnicy mają równe prawa z kapitalistami. „O ileż takie rozwiązanie ułatwia życie!" woła dr. Jekyll. Snadź nie śledził wcale dyskusyj ostatnich paru lat i nie zauważył, że „ułatwione życie" stało się już dziś terminem humorystycznym (wprowadził go Skiwski, krytykując Boya).

Kolega koleżankę chce naciągnąć na Boya i na postęp, i cytuje p. Krzywicką jak powagę naukową; Lindsey prawie jak Lindbergh przybywa z Ameryki, aby dać ostatnią sankcję; oblężona twierdza kapituluje, a nawet staje się pionierką, bo „każdy krok naprzód, każdy wyłom w starych zwyczajach, będzie szczeblem na drodze" i t. d. (A. Buznitzówna).

Sto razy lepsza od p. Krzywickiej feministka Greta Meisel Hess w dziele „Die sexuelle Krisis" (1909) ostrzegała: „Emancypacja jednostek z pod zaaprobowanego społecznie zwyczaju jest najczęściej bezużytecznym buntem. Nie chodzi o eksperymenty, lecz o nowe organizacje i poto są te badania socjalne; wokół palów męczeńskich nigdy nie rosną róże". U nas się nie dużo bada, przystępuje się na gorąco odrazu do czynu, a na męczennikach i męczenniczkach i na palach męczeńskich, zdaje się, nie zbywa.

Z odpowiedzi, które padły w ankiecie, dowiadujemy się o ładnych stosunkach. „Nie jest wypadkiem odosobnionym — pisze jedna w artykuliku pt. Cnotliwcy i uwodziciele — ale zjawiskiem niemal codziennem, że kolega żyje z jedną, a poza nią ma cnotliwą z „dobrego domu" pannę, która narazie jest jego narzeczoną, — a po pomyślnem ułożeniu się warunków materjalnych — jego prawowitą żoną. Kobiety te oczywiście o sobie nic nie wiedzą i każda go kocha; on zaś tylko jedną — i to nie zawsze, a drugą okłamuje i wyzyskuje". Inny znów powiada, że istnieją już nie małżeństwa koleżeńskie, lecz: „prostytucja koleżeńska, polegająca na tem, że kol. X dziś z koleż. Y, jutro z koleż. Z, a pojutrze z koleż. N... i vice versa. Kończy się to niesmacznie i opłakanie: czterech czy pięciu kolegów, popularnie mówiąc „łapie"... oczywiście nie ptaka za ogon..." I wyznaje: „Cały szereg moich kolegów posiada kochanki, przyjaciółki, jak kto woli. To jest wolna miłość."

Mężczyźni występują w tej całej dyskusji z jakże kulawym aparatem i tupetem racjonalizmu. Jeden, z inicjatywy pewnej organizacji przeprowadził badania wśród kolegów i koleżanek (47 i 21) i wylicza: tylu a tylu prowadzi życie seksualne normalne, tylu jest żonatych, tylu narzeczonych, a z tych tylu a tylu uprawia „stosunek powierzchowny" albo „poprzestaje na pieszczotach wstępnych", tylu znowuż się oranizuje, jest też paru homoerotów, a reszta korzysta z usług prostytucji, niektórzy się zarażają itd. Z tego obrazu niedoli miłosnej musiałaby wynikać nieodparcie konieczność małżeństw koleżeńskich. — Ponieważ abstynent był tylko jeden, możnaby nawiasem zapytać: gdzie się właściwie podziała błogosławiona rola sportu, jako ujście dla sił fizycznych młodzieży?

Równocześnie dostąpiła ta piekąca kwestja i godności teatralnej: para studencka, państwo Żytomirscy, napisali sztukę o życiu seksualnem mło-

dzieży pt. „Pod wiatr" — niby że młodzież dzisiejsza musi sobie torować drogę pod wiatr. Sztuka była wystawiona przez Teatr Popularny w Warszawie.

Ale mimo tego olbrzymiego zainteresowania najmniej poruszano stronę prawną kwestji. Z wyjątkiem dwóch odpowiedzi (J. Wernera i Z. Moszyńskiej) wszyscy traktowali małżeństwa koleżeńskie jako trochę uszlachetnioną wolną miłość, i od społeczeństwa czy od Bóg wie kogo wyczekują jakiejś sankcji, zapewne w formie uznania, iż taki a taki obyczaj się utarł i kwita. Niema mowy oczywiście ani o kościele, ani o ślubie cywilnym; ale żeby próbowali stworzyć choćby jakąś własną honorową instancję koleżeńską, — nie. Miłość to miłość, i nikt się do niej wtrącać nie może, tylko Bóg i bocian. A przecież Lindsey inaczej kwestję stawia: mówi, że trzeba wpierw w parlamencie postawić te a te trzy wnioski ustawodawcze. Greta Meissel-Hess mówi (1909) jużto o konieczności wznowienia starorzymskiej prawnej formy konkubinatu, już też o małżeństwach kontraktowych, notarjalnych, zawieranych na pewien okres czasu; zauważa, że w Szwecji konkubinat podlega urzędowemu zgłoszeniu i opiera się na notarjalnym kontrakcie. Jako nie specjalista, stanu obecnego tej kwestji nie znam, ale dziwi mnie to bardzo, że w dyskusji, w której przecież głos zabierają także i prawnicy, ta strona rzeczy została zlekceważona. (Filozofów też wcale nie poznać).

O ochronie prawnej powinno się mówić ze względu na ewentualność dziecka. Ale uważam, że i to jest za wąskie ujęcie sprawy. Nie tylko o dziecko chodzi, lecz także o kobietę samą.

Zastanawiają mnie głównie te idjotyczne frazesy o równouprawnieniu, to podbijanie bębenka naiwnym niewiastom. Równouprawnienie kobiety z mężczyzną na tem polu to bujanie; istnieje ono tylko w tych wypadkach, gdy partnerka posiada własny majątek, który jej pozwala na różne eksperymenty ze swem życiem. To też nie dziwota, że pionierkami tego głupiego równouprawnienia są przedewszystkiem bogate a rozwydrzone żydówki.

W dzisiejszych nieliberalnych czasach taka oaza liberalizmu!

W literaturze feministycznej prym wodzą kobiety, które przestały być pannami i zapomniały o pewnym drobnym szczególe. Ba, objawia się u nich nawet pewna jakby niechęć, a co najmiej zakłopotanie wobec kwestji panieństwa. Nawet Meisel-Hess uważa kult dziewictwa za przesąd burżuazyjny czy drobnomieszczański. Zdaje mi się jednak, że kobieta zbyt łatwo wyrzeka się tutaj swego „atutu". Skoro Pan Bóg dał wam ten symbol, należy go jakoś zrozumieć. Ideałem jest przecież, żeby i mężczyzna i kobieta wstępowali w związek małżeński niewinni. Ten ideał bywa zaprzeczany, ale traktujmy go tutaj chociażby jako fikcję orjentacyjną. Otóż póki zamężne feministki z zazdrości nie przeprowadzą jakiegoś urzędowego rozdziewiczania wszystkich dziewic sposobem chirurgicznym (u pewnych dzikich plemion załatwia to król), póty niewinność i dziewictwo partnerki w małżeństwie będzie regulatorem, który odświeża i uszlachetnia stosunki erotyczne, wciąż zabagniane przez mężczyzn, i chociaż przelotnie objawia światu coś takiego jak miłość, w formie najlepszej. Kobiety nie powinne się odrzekać tak łatwo od tego, że tak powiem, mistycznego zadania. Nie powinne też tak tanio i głupio pozbywać się swojej szansy rynkowej; to jest już wprawdzie okoliczność kapitalistyczna, „burżuazyjna", — niemniej ona istnieje, tak jak każdy talent, jak piękność, jak miły głos i t. p.

Miłość można oczywiście znaleźć także i u niewiast „przechodzonych" i to w stopniu jeszcze wyższym niż u dzierlatek. Meisel-Hess mówi o tem, że „kobieta, to nie bułka". Prawda, ale nie zupełnie. Nie dotykam tu

20 CZER. 1934
4

5833/34

najrozmaitszych komplikacyj fizjologicznych, chodzi mi o prostą linję rozumowania. Otóż normalnie rzecz biorąc, każdy człowiek przebywa w życiu pewien cykl erotyczny, na który składa się: poznanie, ciekawość, marzenie, doznanie, doświadczenie, korzystanie, przyzwyczajenie, obojętność, dziecko, ten drugi lub ta druga i t. p. Dla kobiety jedną z głównych faz cyklu jest ta, w której pierwszy mężczyzna daje jej wrażenia seksualne, — czyli, jak to się mówi, uczy ją miłości. Ta faza może odpaść, gdy chodzi np. o takie wypadki jakie są opisane w „Afrodycie" Louisa lub w „Germinalu" Zoli, gdzie kobieta już zapomniała, kto był jej „pierwszym". Ale w normalnych wypadkach kobieta nie zapomina tak łatwo swego „nauczyciela" — i to wyraża się np. w specjalnym objawie biologicznym: że dziecko mężczyzny drugiego bywa podobne do mężczyzny pierwszego (t. zw. telegonja — fakty te nie są jednak u ludzi bez zarzutu stwierdzone; zob. nowelę Nałkowskiej pt. „Róża Palatynu", w „Tajemnicach krwi"). Tylko jakieś Carmeny lub sławne artystki filmowe potrafią przezwyciężyć uraz pierwszych zawodów miłosnych i zaczynać na nowo. I tylko one mogą sobie pozwolić na to by powiedzieć: posiadałam tych a tych mężczyzn, podczas gdy w ustach mężczyzny słowo „posiadanie" jest naturalne.

To są imponderabilja, których się do rachunku nie wstawia, i dlatego w każdem małżeństwie koleżeńskiem, zawartem niby to na równych prawach, kobieta będzie z góry oszukaną, pokrzywdzoną.

Młodzi panowie stworzenia opierają swoją koncepcję na racjonalistycznem założeniu, iż wszystkie akty erotyczne są jednorodne, jak jeden kufel piwa nie różni się od drugiego. Takby było, gdyby nie to, że życie upływa i że życie się sumuje. Ich figlarny pogląd na małżeństwa koleżeńskie, przypomina obyczaje rokokowe z czasów Ludwika XVI. Ale wówczas kobiety biorące udział w tej zabawie były rzeczywiście równouprawnione, dzięki swemu majątkowi i swej wysokiej pozycji towarzyskiej. Dzisiaj, większość akademiczek to proletarjat inteligencji, — a pamiętać należy, że nędza tylko na najniższych stopniach działa wyswobadzająco — dziad, włóczęga, to król przestrzeni — ale na pośrednich przygniata. Wartoby zbadać istniejące dziś małżeństwa koleżeńskie co do zamożności partnerów; w ilu to wypadkach mężczyzna jest stroną silniejszą materjalnie, więc tą, która — w sposób choćby najdelikatniejszy — kupuje. Stąd żachnięcie się jednej z uczestniczek ankiety: że już woli jawną prostytucję, bo tam stosunek „do ut des" nie jest zamaskowany żadną komedją miłości.

Ale nawet gdyby nie było nierówności materjalnej, kobieta w stosunkach pozbawionych gwarancji prawnej, będzie zawsze stroną pokrzywdzoną. Trzeba się zapoznać z dziełem rosjanina A. W. Niemiłowa „Biologiczna tragedja kobiety" (licho przełożona na polski), aby sobie uprzytomnić to, co się wie tylko ogólnikowo: że na kobiecie spoczywa główny ciężar życia seksualnego w społeczeństwie, ona ponosi jego koszty nieomal od zarania swego życia aż do późnego wieku, i to bez względu na to, czy jest matką czy starą panną. Kobieta jest tym piątym stanem, który ma być wyzwolony. Ekwiwalent uzyskuje tylko w małżeństwie; pozatem mężczyzna stara się wykręcić od solidarności w globowym warsztacie rozrodczym. Powinnoby się go obciążyć specjalnym haraczem od tego przywileju, że jest mężczyzną i że inne istoty objęły za niego gorszą rolę — kobiety. Płaćcie!

Jednym z tych wykrętów i to bardzo wyrafinowanych, są małżeństwa koleżeńskie. Pod pozorem postępu ukrywają konserwatyzm; pod pozorem racjonalizmu wprowadzają anarchję, ponieważ nie obejmują całości zjawisk.

Gorsze jeszcze od „ułatwionego życia" jest: ułatwione myślenie.

Przyp. Red. Rękopis otrzymano w marcu 1934 r.

Wydawca: ROMANA OLSZEWSKA. Redaktor odpow.: HENRYK OLSZEWSKI.

ADRES WYDAWNICTWA: Warszawa, Traugutta 3, m. 8. Tel.: 640-39.

Druk „Reduta", Traugutta 3.

584733

Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001018613139